

# Robinsonada

Plan był dobry, tylko część zasadnicza jak zwykle zawiodła. Wszystkie wielkie historie i wzniosłe wydarzenia cechuje obecność tego samego składnika – przypadku.

Postanowiłem wyruszyć na połów niczym ten słynny samotny rybak. Tylko ja w przeciwieństwie do niego nie miałem zamiaru molestować chłopca na otwartym morzu, a łowić ryby.

Zapakowałem wędki, wałówkę z lodówki i przenośne radyjko, co by się nie nudzić. Bądźmy ze sobą szczerzy, wędkarstwo to w pięciu procentach łowienie, a w pozostałych zabijanie nudy.

Na początku mi nie szło. To znaczy wędkowanie, bo zabijanie nudy tak sobie. W tych trudnych chwilach jedynym pocieszeniem był smak kabanosów i reklamy letniej wyprzedaży samochodów, których przecież i tak nikt normalny by nie kupił. Używane są lepsze, bo już je ktoś testował.

Zawiedziony pierwszymi porażkami uznałem, że pora wypłynąć na szerokie wody. Obrałem przypadkowy kierunek i pozwoliłem silniczkowi diesla zabrać mnie w nieznaną.

Możecie myśleć, że to był ten przypadek, który właśnie pchnął mnie w objęcia wielkich przygód. Otóż nie, to nie kwestia kierunku, a odległości. Silnik się zaciął.

Dopiero po kilku milach morskich, czyli paru lądowych, a około ośmiu zwykłych, zauważyłem, że coś jest nie tak. Silnik ryczał wściekle jak kleń nęcony kukurydzą z koszyka.

Nie mogąc przerwać szaleńczego pędu okrętu, postanowiłem oportunistycznie zarzucić na spinning. Niestety nic się nie złapało. Mogła być to wina tego, że zarzuciłem na pusty haczyk, bo telepało łodzią tak, że nie szło nakłuć robaka. Ryzykować palców nie miałem zamiaru.

Pomyślałem, że to kwestia braku błyskotki, więc pomachałem za burtą pustą butelką. Też nie zadziałało, nie dziwi mnie to. Błysk ma tylko przyciągnąć wzrok. Ryba decyduje się na zaczep po wartości przedmiotu, a ciężko przeczytać etykietę przy tej prędkości.

Po kilku kolejnych kilometrach wodnych zrozumiałem, że w gruncie rzeczy mogę odłączyć zawór, idący do zbiornika paliwa. Udało się, silnik zamilkł.

Gdy spróbowałem przykręcić zawór na nowo, usłyszałem złowrogi trzask, jakby ogromny rekin próbował się przegryźć przez dno łodzi. Był to dźwięk łamiącego się pod moimi palcami plastiku. Zgadza się, połamane zawór.

Olej napędowy polał się pełnym strumieniem, tworząc na tafli wody estetyczną plamę bursztynowego koloru. Po krótkiej chwili zaciekawiona flądra postanowiła wypłynąć na powierzchnię, bokiem do góry. Gdybym wiedział, że to tak działa, to już dawno zanęcałbym paliwem.

Jednakże złapanie nieroztropnej ryby było skromnym zwycięstwem w perspektywie pozostania w zepsutej łodzi na środku morza. Więc nazwałbym to raczej remisem ze wskazaniem.

Nie mając lepszego planu, uznałem, że przecież i tak ktoś mnie znajdzie, więc moge iść spać. Tak też zrobiłem, uprzednio kładąc sobie kapelusz na czole, by się nie spalić. W końcu nie ma sensu narażać się na niebezpieczeństwo.

Obudził mnie narastający szum i seria grzmotów, jakby ktoś łamał zawór za zaworem. Dzięki Bogu była to jedynie burza, a nie zespół stresu pourazowego.

Fale rzucały łodzią jak leśnik oponami do ogniska, gdy nikt nie patrzy. Brutalnie, z mocą i ochoczo.

Roztropnie wystawiłem pośliniony palec, by sprawdzić, z której strony wieje. W końcu wiatr zawsze wieje do brzegu. Wiało z każdej strony, co było o tyleż pocieszające co nieprzydatne.

Ostatnie co zapamiętałem to nic.

Obudziłem się na plaży, wśród rozbitych resztek mojej wiernej łódki. Obok mnie leżało jedno z wiosł, całe. To prawda, mogłem po prostu wiosłować, gdy zepsuł się silnik, ale to jednak daleko, a jakbym się zmęczył to głupio tak, bo byłbym i zgubiony i zmęczony.

Zawsze zastanawiało mnie to, jak ci rozbitkowie budzą się na plażach cali. Ciężko mi się pływa normalnie, a co dopiero w sztormie, na oceanie i jeszcze po jedzeniu. Skurcz jest niebezpieczniejszy od rekina, bo istnieje.

Widocznie dodryfowałem, trzymając się na autopilocie przewróconej łodzi. Instykt przetrwania zwyciężył, choć cena była wysoka. Łódź była rozbita w drzazgi, więc nawet gdybym jakimś cudem przetrwał na obcym lądzie, to nie udałoby mi się odzyskać kaucji za wypożyczenie. To był koniec.

Wyspa była dzika i zdawałoby się bezludna. A skoro była bezludna, a ja byłem jedynym jej mieszkańcem, to była jednak zaludniona przeze mnie. Więc będąc jej jedynym mieszkańcem, byłem właścicielem. Zatem wymieniłem łódź na prywatną wyspę. Kto mógł przewidzieć, że na stare lata dorobię się fortuny łowieniem ryb.

Z czasem zaczęła mi doskwierać samotność. Co prawda radyjko grzało jak słońce, ale bądźmy szczerzy, telewizor byłby lepszy. Nie wspominając już o fackie, że prowiant skończył się szybciej, niż się spodziewałem.

Może powinienem był myć się tylko w słonej wodzie. Tylko jak się wychodzi z morza, to później człowiek schnie i tak szczypie niewygodnie od tej soli, to jednak trzeba się umyć, a butla była pod ręką.

Dni miały coraz dłuższe, coraz cieplej było u mnie, jak mówił poeta. Burczenie w brzuchu zaczęło z czasem zagłuszać radio, które notabene również grało jakby ciszej i słabowicie. Nawet powtórki meczów, jakimś cudem dochodzące przez eter do tego dalekiego, dzikiego miejsca, nie stanowiły pocieszenia.

Pewnej nocy położyłem się głodny i spragniony, wierząc, że już nie wstanę.

Aż nagle usłyszałem głos. Głos, który przemówił do mnie we śnie. Niósł się z daleka, jakby zza wody, przypominał odległy krzyk.

– To teren prywatny!

– Wiem... Wiem – odpowiedziałem w głowie, ze wzruszeniem myśląc o swoim położeniu. – Powinienem być gospodarzem, królem tego miejsca i uczynić je sobie poddanym. Jednak nie potrafię Panie Boże, jest zbyt ciężko, tak strasznie mi ciężko...

– Wypierdalaj!

– Nie mogę, przecież nie mam łodzi, a nie wiem gdzie...

– Wypierdalaj staruchu!

– Ej, ej kto wyzywa ten się... – I wtedy zrozumiałem, że to nie był sen.

Otworzyłem oczy i dostrzegłem, że jest już rano, a kilka metrów od brzegu zacumowany jest solidnych rozmiarów jacht. Biel aż iskrzyła i dawała po oczach, odbijając poranne słońce. Kilkanaście kolorowych postaci w strojach kąpielowych stało na burcie.

– Co? – spytałem jeszcze, nie do końca rozumiejąc.

– To moja wyspa, znaczy moich rodziców, wynoś się kurwa, bo na policję zadzwonię.

– Znowu jakiś menel zabłądził od molo. – Któryś z młodziaków na pokładzie powiedział niedyskretnie do drugiego i głos poniósł się po wodzie.

– Nie możecie wynająć jakichś ochroniarzy, czy coś?

– Pewnie przez siatkę przeszedł... – odezwał się ten, co krzyczał na początku. – Słyszysz mnie?!

– Tak!

– To wypierdalaj!

– Bo co? – odpowiedziałem pierwsze, co mi przyszło do głowy.

– Bo to teren prywatny!

– No i?

Nastąpiło zamieszanie. Kilka osób zaczęło przerzucać się między sobą zdaniami. Ja już się nie przysłuchiwałem. Któryś wyjął komórkę i zaczął mnie nagrywać, śmiejąc się i wskazując palcem.

– A może to ekolodzy jacyś? – Spytała wychudzona blondynka.

Wtedy dopiero zorientowałem się, że nie wylądowałem na żadnej dalekiej krainie, tylko jednej z okolicznych wysepek. Widocznie wiatr wywiał mnie tak, że nikt mnie nie zauważył, a nikt poza właścicielami pewnie nie pilnuje tego miejsca.

Przyznaję, zdenerwowałem się nieco. No bo jak to jest, że kogoś stać na wyspę, jacht, a pieprzonej tabliczki nie umie postawić, żebym wiedział, którą do domu. Jeszcze jakby to była moja wina, że mi się silnik zepsuł, a nie była. Dobry był, używany, sprawdzony.

– Ja się nigdzie stąd nie ruszam – odkrzyknąłem w końcu.

– O cholera, czyli jednak protest – szepnęła dziewczyna.

– Gównu nie protest, dzwonię po pały... Albo nie, lepiej, dzwonię po telewizję, zaraz się dowiemy czy on od tych od zwierzaków, czy od zagrożonych rejonów. Namorzyn im się zachciało, nie wiem, co im przeszkadza wycinka, przecież pod wodą i tak się nie liczy.

– Ej, a jak ci tu ściągnie ich więcej? Może lepiej po prostu go zostawić? – podpowiedział usłużnie kolega, ale ten z telefonem już wybierał numer.

– No i pieprzyć was – skonstatowałem, przewracając się na drugi bok.

Może głupio zrobiłem, fakt. Mogłem po prostu wstać i iść do domu, tylko co? Tak bez wyspy i bez łodzi? Jak ten rybak, co to nigdy nic nie złowił, a potem przywiózł szkielet marlina i udawał, że sam upolował, tylko dowodu nie ma. Głupich nie sieją.

Nosiłem się w sobie z tymi myślami, a gówniarze z pokładu tylko ostentacyjnie rzucali czasem obelgą, albo po prostu pokazywali mi środkowy palec. Już miałem rzeczywiście zabrać graty i wracać do domu, ale na miejsce przyszła ekipa telewizyjna.

Słyszałem samochód, parkujący gdzieś niedaleko. Oznaczało to, że gdybym ruszył się z miejsca chociaż na dłuższy spacer to bym znalazł parking i drogę do drogi krajowej. No cóż, błędy młodości, było minęło.

Zaafowana kobieta z mikrofonem ciągnęła za sobą jakiegoś faceta z wielką kamerą i chyba stażystę. Stażystę, bo niósł parasol, głupia sprawa, zawsze się stażystom daje takie zadania, by nie czuli się bezużyteczni. Parzenie kawy, nabranie kilwateru, albo trzymanie parasola w upalny dzień.

- Czy to prawda, że nielegalnie okupuje pan ten teren?
- Dzień dobry – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.
- Proszę coś powiedzieć widzom na temat organizacji tego eventu.
- Głupia sprawa, wie pani? Tak naprawdę to...
- Nie będziemy rozmawiać z aparatem przymusu! – zakrzyczał ktoś w oddali.

Brodaty, niski facet w zielonym podkoszulku prowadził ze sobą bandę złożoną z tuzina skrzywdzonych życiem młokosów. Napuchnięte ze zmęczenia oczy próbowały nadażyć za wszystkim, jednocześnie nadzorując pisanie haseł na kartonowych znakach.

A hasła trzeba przyznać, mieli naprawdę na wyrost:

Precz od terenów łęgowych, stop przeławianiu, zielona i naturalna jest Ziemia... I dalej nic. Niosąca ostatni znak dziewczyna ewidentnie szukała wsparcia kreatywnego wśród koleżanek. Sam zacząłem się zastanawiać, jak to zrymować, bo głupio tak wykreślić.

- Jeśli media nie mają zamiaru przekazać całej prawdy to... – zaczął brodac.
- Ale my przekazujemy tylko prawdę, bo nagrywamy i to jest... – odpowiedziała mu ta z mikrofonem.

- No właśnie, nagrywacie, a nagrywa to się filmy, a to trzeba na żywo, bo to...
- A my będziemy na żywo, tylko najpierw...
- Żywa to ma być planeta Ziemia! – wtrącił ktoś z boku.
- Wichrzyciele przyrody! – dodał inny.
- Degeneraci!
- Złoczyńcy!
- Paraepileptycy!
- Dysocjanci rewolucji!

Odsunąłem się z pola rażenia głupoty i pozornie bez celu zacząłem przeszukiwać resztki łodzi. W międzyczasie na brzeg zaczęła wypływać mniejsza motorówka ze wściekłym krzykaczem z łodzi i jakimś umiejętnym kolegą w roli silnorękiego.

Przysiadłem z radyjkiem, starając się zagłuszyć wrzaski i utyskiwania. Kilkudziesięciu ludzi przekrzykiwało się teraz o jakieś pierdoły. A to odpady w wodzie, a to brak atestu do transformatora, a to znowu teren prywatny po raz setny.

Zebrani krzyczeli głośniejsz, ja zwiększałem głośność radia w odpowiedzi.

– Namorzyny!

– Teren prywatny!

– Komentarz właściciela!

– Proszek do prania jesiotr complex, poczuj świeżość górskiego potoku w swoim domu... – I nagle cisza.

Potrząsnąłem radiem, przycisnąłem ucho do głośniczka i zamarłem. Padły baterie i mój jedyny towarzysz umilkł. Tego było już za wiele.

Wstałem, przepchnąłem motorówkę, którą przyplęnęła dwójka chłopaków z jachtu, przekręciłem kluczyk i odpłynąłem z burczeniem w silniku i żołądku.

Właściciel łódki krzyknął zaaferowany, któryś zaspany ekolog uznał to za sygnał do wszczęcia walki o wolną planetę i przydzwonił mu z pięści w ucho. Ktoś szarpnął się z kamerzystą, a stażysta od parasolki zaczął spieprzać wzdłuż plaży, mając najmniej do zyskania i najmniej do stracenia.

Ja miałem po prostu nadzieję, że tym razem zgubię się i rozbiję już naprawdę.